

# NIE CZEKAĆ NA



## Rozmowa z KRYSTYNĄ JANDĄ

● Jest pani entuzjastką zawodu. Tak pani deklaruje, widać to na ekranie i w teatrze. Ale czy jest pani z siebie zadowolona?

– Gdybym musiała jednym słowem nazwać swoje aktorstwo, powiedziałabym: „niedoskonałość”. Wszystko, co robię, ustane jest błędami, może dlatego się to zapamiętuje. Nie jest to wygładzone, rutynowe, stereotypowe... Opiera się na masie pomysłów rzucanych na ekran, z dość dużą emocją z mojej strony. Zawsze odrobina improwizacji, intuicji. Aktorstwo stało się moim sposobem życia. Uprawiam ten zawód pewnie tak, jak uprawia się każdy inny, tyle że aktorstwo wymaga o wiele więcej sił i emocji. Nerwy na wierzchu! Nerwy, nad którymi w pewnym momencie nie mamy już władzy. A nikogo to nie obchodzi. Nie można być aktorem osiem godzin na dobę... Dziesięć lat bez wytchnienia i nie wyobrażam sobie, że bym mogła robić cokolwiek innego. Dopiero teraz aktorstwo stało się dla mnie naprawdę interesujące. Doszłam do pewnego rodzaju umiejętności zawodowych, które pozwalają mi grać tak jak zawsze chciałam. Ale zaczęły się problemy... Wiem, że czegoś chcę, coś umiem, coś chcę opowiedzieć, a nie mam dyrygenta. Tak, chciałabym mieć dyrygenta, bo nie potrafię sama siebie oceniać i reżyserować.

● Ukończyła pani szkołę teatralną z wyróżnieniem za rolę w telewizyjnej inscenizacji „Trzech siostr” Czechowa w reż. Aleksandra Bardiniego...

– Widziałam ten spektakl niedawno. No cóż, teraz zagrałabym lepiej, ale na pewno nie zmieniłabym konstrukcji postaci. Tak samo dziś rozumiem Maszę, jak ją rozumiałam kilkanaście lat temu. Niewiele wówczas umiałam... Zaraz potem urodziłam córkę, a moi koledzy zaczęli występować w teatrach. Ja siedziałam w domu, wychowywałam dziecko i bardzo chciałam grać. Moje plastyczne marzenia? Zostały gdzieś daleko w tyle. To było tak dawno, że zapomniałam. Kiedy po Liceum Plastycznym dostałam się do PWST, cały pierwszy rok studiów zastanawiałam się, czy dobrze robię. Ale aktorstwo pochtoneło mnie na dobre.

● Bardzo szybko przekroczyła pani barierę anonimowości, którą dotkliwie odczuwa prawie każdy młody aktor. Wystartowała pani od razu z bardzo wysoka – rolę w filmie Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”. Pamięta pani atmosferę tego pierwszego spotkania z Wajdą?

– Przed „Człowiekiem z marmuru” miałam próbne zdjęcia do kilku filmów, ale reżyserzy odrzucali moją kandydaturę – że mało zdolna, że brzydka... I

# OFELIĘ

całe szczęście, bo debiutowałam u Wajdy! Ten debiut mnie ukształtował, nadał kierunek wszystkiemu, co potem robiłam. Na planie „Człowieka z marmuru” nauczyłam się pewnego sposobu myślenia, pewnego mechanizmu tworzenia. Pewnie nigdy bym do tego sama nie doszła, gdyby nie on. Był to najważniejszy w moim życiu związek z reżyserem. Wierzyłam Wajdzie bez rezerwy, chłonęłam wszystko co mówił. Pracowałam i nie bardzo wiedziałam, co dzieje się poza planem, oddałam temu filmowi wszystkie swoje siły. Schudłam siedem kilogramów i nie zauważyłam, że minęły trzy miesiące. Jaki film powstał i jakie wrażenie wywołała moja rola, było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Dopiero dużo później zdałam sobie sprawę, jakie ta rola miała dla mnie znaczenie. Wie pan, szkoła teatralna dała jakieś przygotowanie i przemyslenia, ale dopiero spotkanie z Andrzejem Wajdą ukształtowało mój sposób myślenia na temat zawodu.

● **Wróćcie potem znowu Wajda. „Bez znieczulenia” i ciekawy pomysł na postać – niema rola. Pani pomysł czy reżysera?**

– Miałam nie grać w tym filmie. Agnieszka Holland w ostatniej chwili napisała dla mnie rolę. Były tam długie monologi, zapropionowałam skróty. Wajda natychmiast to podchwycił, zrozumiał więcej niż ja chciałam. Zagrałam bez słów. Nie wiedziałam co gram, dlaczego tak... Recenzenci napisali, że zagrałam „sumienie narodu” albo „aniota śmierci”.

● **Pani ekranowa wcielenia – przede wszystkim w filmie „Człowiek z**

marmuru” i „Człowiek z żelaza” oraz w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego – zostały przyjęte, zwłaszcza przez młode pokolenie, bardzo emocjonalnie. Jest w nich bowiem odwaga, nonkonformizm, niezgoda na fałsz i obłudę, prawda moralna. W pewnym okresie stała się pani dzięki tym filmom postacią-symbolem pokoleniowym... Wie pani o tym?

– Wiem, że nie mogę pozwolić sobie na rolę zaprzeczającą temu, co dotąd stworzyłam. To jest główna odpowiedzialność, jaka na mnie ciąży. Ale cóż to za wdzięczny ciężar!

● **Wytańczyła pani w trzech filmach Piotra Szulkina – „Golem”, „Wojna światów, następne stulecie”, „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji”. Estetyka filmowa Szulkina jest pani bliska?**

– Granie u Piotra Szulkina to zabawa formalna, tylko i wyłącznie. Gram tę samą postać, mówię właściwie to samo. Wymyślam jedynie nowe figury i nowe sytuacje. A ponieważ jesteśmy z Piotrem po jednym Liceum Plastycznym, mamy zbliżone gusty artystyczne i estetyczne.

● **W ubiegłym roku przejął pan rolę niewątpliwie film Radosława Piwowarskiego „Kochankowie mojej mamy”. Po premierze filmu przyznała pani żartobliwie, że Wajda przestrzegł, aby nigdy nie występować z dzieckiem lub psem. Te wzruszające stworzenia odwracają uwagę widzów od aktora. Dlaczego zatem zdecydowała się pani zagrać z dzieckiem?**

– Piękny film o miłości. Zachwycił mnie pomysł stworzenia nietypowej



Fot. R. Sumik

pary, matki i syna. A przy okazji chciałam skonstruować postać matki, którą sobie kiedyś wymyśliłam i jaką sama chyba też trochę jestem. Jest w niej bezradność i życiowa odwaga, lęk i siła, czułość i okrucieństwo... Matka i dziecko prawdziwie sobie bliscy. Lubię rzeczy nowe, inaczej zanudziłabym się w tym zawodzie na śmierć.

● **Gwiazda i dziecko... W jednym z wywiadów Piwowarski powiedział: „Janda była podstawowym pomysłem”. Tak mówi się o gwiazdce filmowej, dla pani powstał ten film.**

– W Polsce rzeczywiście mówi się o mnie, że jestem gwiazdą. Ale tutaj zrobiłam bardzo dużo filmów i kolejne moje role przyjmowane są ze świadomością tego, jaką jestem aktorką i osobowością. Wywalczyłam sobie miejsce wśród aktorów trochę na zasadzie odrębności. Nowy typ osobowości, który wkroczył na ekran. Kobieta współczesna, przebojowa, drapieżna, kontrowersyjna – to czytam o sobie. Nie jestem aktorką, którą można pokochać od razu i na zawsze. A widzowie dostrzegają tylko te szandarowe role. Zagrałam, na przykład Elżbietę w „Granicach”, zaraz po „Człowieku z marmuru”, i przeszła nie zauważona, bowiem film nie był dobry. Diametralnie inna rola... Do każdej z ról, które potem się zapamiętuje, dochodzę przez ileś tam ról innych często nie zauważonych.

● **Ala może pani wybierać i preferować w rolach. To luksus, przywilej nielicznych aktorów.**

– Nie zawsze dokonywałam trafnych wyborów... Jednak istnieje u aktora lęk, że zniknie, że go zapomną, a więc należy się pokazywać, dużo grać. Trzeba dać aktorowi tę szansę pokazania się,

zaprezentowania swoich umiejętności. Ale nie raz ma kłopoty z tym, że zapomni o sobie.

● **Duże role u wybitnych reżyserów, czy tak?**

– Czekać na Ofelię?! Nie... Aktorstwo nie polega przecież na kreowaniu wielkich ról, często epizod w dobrym filmie czy spektaklu może dać ogromną satysfakcję. W węgierskim filmie „Mefisto” zagrałam niewielką rolę. A jest to ważna dla mnie rola.

● **Pisze się i mówi o pani nieposkromionej, barwnej osobowości. Może pani o niej na chwilę zapomnieć, w filmie lub na scenie?**

– Wszystko, co gram, opiera się jakby na mnie. Moje role są tak różne, do każdej używam innej strony samej siebie. W filmie Waldemara Krzystka „W zawieszaniu” (tytuł roboczy „Czas kary”) gram postać, którą nazwałam sobie „Matką Boską”... Inaczej reaguję, żadnych gwałtownych ruchów, wszystkie reakcje zwolnione. Jestem w tym filmie szara, nieatrakcyjna, wyciszona. Oczywiście, że trudno było mi zagrać tego typu postać. Nie mogę jednak powiedzieć, że zagrałam kogoś zupełnie innego niż ja sama.

● **Nie mogę wyobrazić sobie pani w roli, na przykład „słodkiej Iszczki” wtulonej w futro i zatrzymującej się z wahanem przed małą kałużą...**

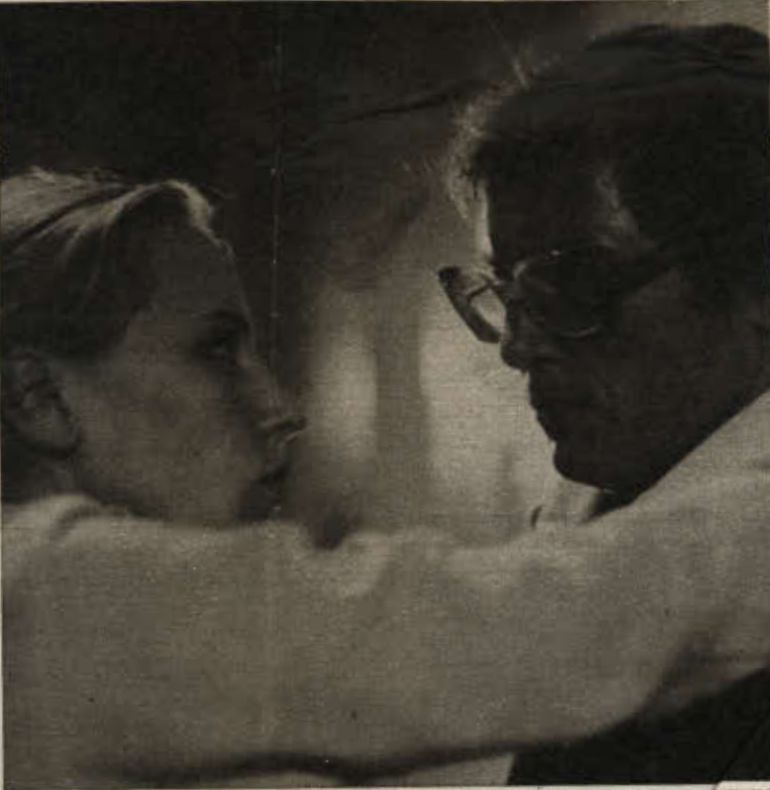
– Można próbować grać wszystko, to sprawa warsztatu. Ale są takie rzeczy, których nie potrafiłabym zagrać. Niewinność... Moja twarz nie wygląda, niestety, na naiwną. Mogłabym zagrać Fedrę albo Medeę, wszystko jedno gdzie.



„O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji” Piotra Szulkina

● **Należy pani do grona aktorów polskich cenionych w Europie Zachodniej. Czy sukces filmu „Człowiek z żelaza” w Cannes miał wpływ na pani „drogę do Hollywood”?**

– Pan żartuje, kariera filmowa na Zachodzie? Ależ ja tam żadnej kariery nie robię. Jestem po prostu wykorzystywana w tych filmach, w które można wkomponować moje aktorstwo. W momencie, kiedy pojawiłam się w Paryżu na premierze „Człowieka z żelaza”, okazało się, że jestem znana w środowisku z filmów Andrzeja Wajdy. We Francji ceni się najbardziej moją rolę w „Dyrygencie”. Dzięki niej zaangażowano mnie do filmu francuskiego. To absolutnie niemożliwe, abym zrobiła tam jakąś karierę. Jestem za „stara”, a poza tym – mojego aktorstwa nie można nazwać popularnym, powiedzmy: „łatwo przyswajalnym” dla widza. Tam jestem traktowana jak ktoś, kto inaczej gra. Cudzoziemka, ciekawostka, gość, inny



Z Bogusławem Sobczukiem w „Człowieku z marmuru”

– dwunastoletnia córka, trzy psy i coś tam jeszcze. Lubię to wszystko czym jestem otoczona. Szczerze o sobie? Dość szybko żyję. Żyję wtedy tylko, gdy gram albo Kocham. Reszta jest nieważna, innych mniejszych emocji nie zauważam. Odczuwam upływ czasu, teraz to nawet histerycznie. I miewam chwile kompletnego załamania. Sądzę wtedy drzewa, kopię w ogródku, jadę na wieś. Unikam miejsc publicznych. A sukces... Wie pan, moje szczęście jako kobiety polega na tym, że dzięki sukcesowi zawodowemu stałam się w pewnym sensie niezależna – nie muszę udawać, że jestem mądrzejsza niż jestem, że ładniejsza. Niczego nie potrzebuję udawać, ani w zawodzie, ani w życiu. Tę, może powierzchowną, wolność daje sukces. Mogę odrzucić całą pozę filmowego gwiazdorstwa. Mam zmarszczki, bywam zmęczona i nieefektywna, jak miliony kobiet. Bez kawioru i bez makiżażu.

● **A marzenia?**

– Nigdy specjalnie nie marzyłam. Dawałam się nieść życiu... A poza tym jest to taka sfera mojej intymności, o której staram się nie mówić publicznie.

● **Pewien krytyk filmowy pisał: „Gwiazdy utraciły znamiona boskości, bo i widz stał się bardziej laicki. Nie przestały jednak istnieć”...**

**Rozmawiał  
PIOTR GACEK**

● **Aktorom przypisuje się często skłonność do życia na pokaz. Krąży wiele plotek i domysłów na temat pani niezwyklego życia prywatnego...**

– Widz nie lubi, gdy burzy się jego obraz aktora. Ludzie sądzą, że moje życie prywatne jest niezwykle, jak przystało na „gwiazdę”. Tymczasem moje życie jest bardzo ustabilizowane, ciepłe



Z Wandą Lothe-Stanisławską, Hanną Małkowską i Heleną Wizio w „Granicy”

sposób myślenia. Zawsze jednak mam, dzięki temu statusowi, prawo głosu.

● **I odnosi tam pani sukcesy. Na ubiegłorocznym Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Montrealu uhonorowano panią główną nagrodą aktorską.**

– Otrzymałam tam pierwszą w moim życiu nagrodę aktorską. Zagrałam z Sami Freym w zachodnioniemieckim filmie „Laputa”, eksperymentalnym i niskobudżetowym. Reżyserowała Helma Sanders-Brahms. Film był rzeczywiście dużym wydarzeniem artystycznym. A co niezwykle, praca na planie filmowym polegała właściwie na nieustannej improwizacji. Nikt nie myślał o splendorach.

● **Wiele interesujących zadań aktorskich przypadło pani w udziale, ale przede wszystkim w filmie. A teatr? Aktorzy mówią, że film daje popularność, ale nobilituje teatr.**

– Film i teatr to zupełnie nieprzekładalne dwa systemy znaków do widza. To film ukształtował mnie jako aktorkę. Kamera blisko mnie rejestrująca każdy szczegół. W filmie nie ma czasu, to jakby podstawowa sprawa. Trzeba być zatem nieomylnym, każdy dzień nagrany na taśmie zostaje na zawsze. Film nie pozwala na zastanowienie, poszukiwania, na znalezienie w sobie zupełnie nowych środków wyrazu. Sprzedaję to, co

już wiem i rozumiem. W filmie wystarczy czasami drgnienie powieki, spojrzenie. W teatrze trzeba grać całym ciałem. Lubię teatr, jest to skupienie innego rodzaju. Dotąd w teatrze jakoś nie miałam szczęścia, a przecież nigdy z teatru nie wyszłam. Obsadzano mnie w roli Anieli w „Ślubach panieńskich” albo Niny w „Czajce”. Miałam z nimi potworne kłopoty i żadnej większej satysfakcji. „Zaistniałam” w teatrze dopiero jako Rita w „Edukacji Rity” na scenie Ate-neum. Za rolę pani Heiberg w przedstawieniu „Z życia glist” w Teatrze Powszechnym publiczność oklaskuje mnie raczej z sympatii, niż z prawdziwego zachwyty, tak myślę.

● **Dzieli pani swoje umiejętności między film, teatr, telewizję i zbiera laury także za piosenkę aktorską. Pani aktorskie śpiewanie zaczęło się od „Gumy”?**

– Pisano nawet o moim udanym debiucie na festiwalu opolskim. Zaśpiewałam „Gumę”, bo Marek Grechuta spieszył się, innej aktorki nie było tego dnia w telewizji, a trzeba było zgłosić piosenkę do konkursu jak najszybciej. Przypadek. Aktorka śpiewająca to ładnie brzmi. Śpiewam, ale umówmy się – śpiewać to ja raczej nie potrafię. Po prostu lubię.

● **Skromność czy ostrożność?**

– Raczej rozsądek...



Z Rafałem Węgrzyniakiem w filmie „Kochankowie mojej mamy”